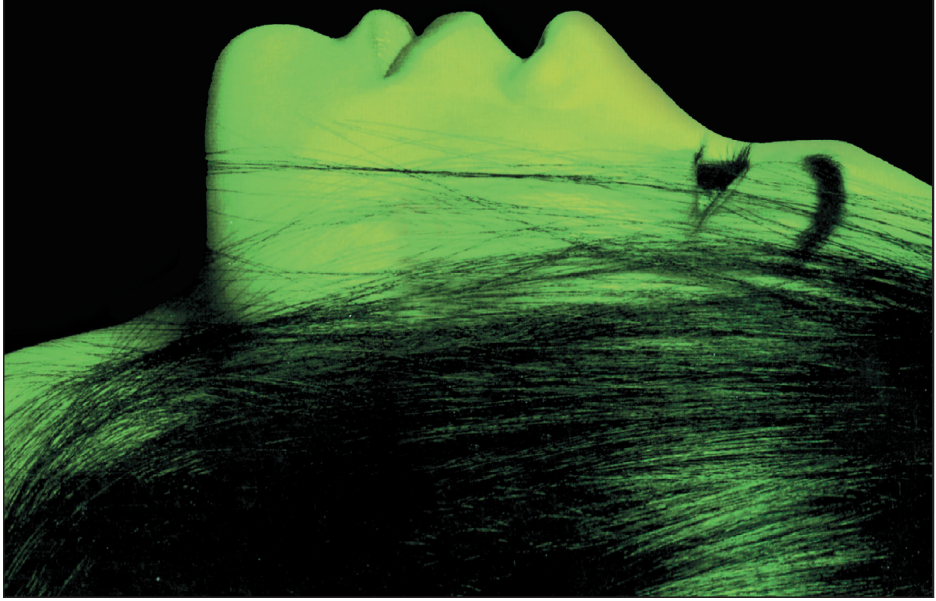


Autor IMPERIUM WILKÓW i PURPUROWYCH RZEK

JEAN-CHRISTOPHE
GRANGÉ

KAIKEN



1

Deszcz.

Czerwiec, miesiąc najpaskudniejszy ze wszystkich.

Od kilku tygodni ta sama szara, wilgotna, lodowata monotonia. A jeszcze gorzej było w nocy. Oficer Olivier Passan przeładował berettę Px4 Storm SD i odbezpieczoną położył na kolanach. Ujął ponownie kierownicę lewą ręką, a prawą wyciągnął iPhone'a. Włączył GPS i na ekranie dotykowym pojawiła się mapa. W padającym od dołu świetle Passan wyglądał jak wampir.

— Gdzie jesteśmy? — mruknął Fifi. — Kurwa, gdzie my jesteśmy?

Passan nie odpowiedział. Jechali wolno ze zgaszonymi światłami, niewiele widząc. Labirynt w stylu Borgesa. Ceglane mury pokryte różowawym tynkiem, z wieloma wejściami, alejkami, zakrętami, zamknięte dla kogoś z zewnątrz, niczym Wielki Mur Chiński chroniący tajemnicze wnętrze.

Ten labirynt to po prostu przedmieścia. Le Clos-Saint-Lazare w Stains.

— Nie mamy prawa tu być — rzucił Fifi. — Jeśli komenda departamentu dziewięćdziesiąt trzy dowie się, że...

— Bądź cicho.

Passan prosił go, żeby ubrał się na ciemno, by nie zwracać uwagi. I co zobaczył? Fifi włożył hawajską koszulę i czerwone szorty, jakie noszą deskorolkarze. Olivier wolał nie wiedzieć, czym się uraczył przed spotkaniem z nim. Wódka, amfetamina, koka... Z pewnością i jednym, i drugim, i trzecim.

Nie puszczać kierownicy, sięgnął po leżącą na tylnej kanapie kamizelkę kuloodporną — taką samą miał pod kurtką.

— Włóż to.

— Nie potrzebuję.

— Rób, co ci mówię. W tej koszuli wyglądasz jak przebieraniec z parady gejów.

Fifi, a właściwie Philippe Delluc, wykonał polecenie. Olivier dyskretnie go obserwował. Rozczochrane tlenione włosy, blizny po trądziku, kolczyki w kącikach ust. Spod rozchyłonego kołnierza wyzierał pysk straszego smoka, zdobiący lewy bark i ramię. Po trzech latach wspólnej pracy Passan wciąż się zastanawiał, jak taki człowiek zdołał wytrzymać osiemnaście miesięcy rygoru w Wyższej Szkole Policynnej, jak przeszedł przez rozmowy kwalifikacyjne, wizyty u lekarzy...

Został jednak policjantem, i to takim, który trafiał do celu z broni kalibru .9 mm na odległość ponad pięćdziesięciu metrów — obojętnie, czy trzymał pistolet w prawej, czy lewej ręce; mógł również spędzić wiele kolejnych nocy z panienkami i nie odczuwać najmniejszego zmęczenia. Ten zaledwie trzydziestoletni porucznik już przynajmniej pięć razy uczestniczył w strzelaniu, dzielnie się spisując. Był najlepszym współpracownikiem, jaki trafił się Passanowi.

— Podaj mi jeszcze raz adres.

Fifi zerwał żółtą kartkę przyklejoną do tablicy rozdzielczej.

— Rue Sadi-Carnot sto trzydzieści cztery.

Według GPS-u byli już bardzo blisko, ale wciąż mijali ulice z innymi nazwami — rue Nelson-Mandela, square

Molière, avenue Pablo-Picasso... Co dziesięć metrów samochód podskakiwał na garbach drogowych. Od powtarzających się ruchów Passanowi zaczynało się robić niedobrze.

Wcześniej poświęcił trochę czasu na wydrukowanie planu tej okolicy. Le Clos-Saint-Lazare jest jednym z większych miast departamentu Seine-Saint-Denis. Prawie dziesięć tysięcy ludzi ulokowano w blokach komunalnych postawionych krętym szeregiem w lesistym parku. Górzące nad okolicą budynki o prostych liniach przypominały rozstawione strażę.

— Cholera! — syknął przez zęby Fifi.

Sto metrów dalej kilku czarnych znęcało się nad mężczyzną leżącym na ziemi. Passan przyhamował, wrzucił bieg na luz i podjechał do nich wolno. Regularna rozróżba. Ofiara usiłowała chronić twarz przed kopniakami napastników.

Ciosy spadały niczym grad, trafiając mężczyznę z różnych stron. Jeden z bandziorów, w uciętych dżinsach i czapce Kangol, nadepnął butem na usta ofiary, zmuszając ją do połknięcia wybitych zębów.

— Poliz moje buty, Żydzie! Poliz je, bękarcie! — Wcisnął mocniej but w poranione dziąsła mężczyzny. — Poliz je, gnoju!

Fifi chwycił swojego CZ 85 i otworzył drzwi samochodu, ale Passan go zatrzymał.

— Siedź. Wszystko spieprzysz.

Rozległ się krzyk. Napadnięty mężczyzna zerwał się na nogi. Wbiegł po schodach i zniknął w środku budynku. Czarni pękali ze śmiechu i nie zamierzali go ścigać.

Passan włączył pierwszy bieg i przejechał obok nich. Fifi cicho zamknął drzwi. Kolejny garb na jezdni. Subaru nie robiło więcej hałasu niż łódź podwodna płynąca na dużej głębokości. Rzut oka na iPhone'a.

— Rue Sadi-Carnot... — mruknął Passan. — To tutaj...

— To znaczy gdzie?

Była po prawej stronie, za ogrodzonym placem budowy. Najwyraźniej trwały tu jakieś roboty renowacyjne. Na tablicy informacyjnej widniał napis: „Schronisko dla kotów”. W głębi, wśród ruin i sprzętu budowlanego, stały podobne do klocków, bezosobowe hale. W dzielnicach podmiejskich w tego rodzaju budynkach mieszczą się zwykle szkoły albo magazyny.

— Sto dwadzieścia osiem... Sto trzydzieści... Sto trzydzieści dwa... — odliczał Passan półgłosem. — To tam.

Spojrzeni na bramę bloku. Passan zgasił silnik, wyłączył iPhone'a. Widać było tylko czarne, tłuste kałuże upstrzone kroplami deszczu.

— Co robimy? — zapytał Fifi.

— Idziemy tam.

— Jesteś pewien, że powinniśmy to zrobić?

— Niczego nie jestem pewien. Po prostu tam idziemy.

Kiedy usłyszeli krzyk kobiety, mrużąc oczy, próbowali się zorientować, skąd pochodził. Zobaczyli kilku bandziorów popychających przed sobą nastoletnią dziewczynę, która szlochając, usiłowała im się opierać. Jeden z nich kopał ją w tyłek, drugi walił po karku. Szli w kierunku przyczepy mieszkalnej na placu budowy.

Fifi ponownie otworzył drzwi.

— Spokojnie — powiedział Passan, chwytając go za ramię. — Nie po to tu jesteście. Jasne?

Fifi spojrzał na niego ze złością.

— Właśnie po to jestem policjantem. Kapujesz?

Passan zawałał się. Znowu usłyszeli krzyk.

— A niech to szlag... — skapitulował. Wyciągnęli broń i wysiedli z subaru. Pobiegli, skrywając się za kilkoma parkującymi samochodami, po czym skoczyli na bandziorów. Bez żadnego ostrzeżenia. Passan walnął w głowę pierwszego, który upadł w kupę piasku. Fifi podciął nogi drugiemu, przewrócił go na brzuch i sięgnął po kajdanki. Trzeci zwaiał,

ciskając przekleństwa.

To samo zrobiła dziewczyna, roztrzęsiona, z potarganymi włosami. Obaj policjanci spojrzeli po sobie. Sprawa szybko się skończyła. Nie było ofiary, nie było napadu, nie mieli nic. Korzystając z ich wahania, typ leżący na ziemi odtrącił lufę pistoletu Fifi i skoczył na równe nogi.

Padł strzał. Kajdanki osunęły się z cichym brzękiem.

— Cholera! — wykrzyknął Passan.

Odruchowo powiódł wzrokiem w kierunku domu, w którym otworzyły się właśnie drzwi. Ujrzał łysą głowę, krępą sylwetkę, jasnoniebieskie rękawiczki chirurgiczne. Tyle razy wyobrażał sobie ten moment. W myślach widział zawsze bardzo wyraźnie tego zbrodniarza przyłapanego na gorącym uczynku.

Wymierzył czterdziestkępiątkę i wrzasnął:

— Ani kroku dalej!

Mężczyzna znieruchomiał. Na łysinie mokrej od deszczu odbijało się światło dochodzące z półotwartych drzwi. Wewnątrz palił się ogień. Przybyli za późno. W tym momencie Passan się odwrócił i zobaczył zatrzymanego przed chwilą niedoszęłego gwałciciela uciekającego w stronę centrum.

Fifi złożył się do strzału z palcem na spuście, ale przełożony zmusił go do opuszczenia ręki.

— Nie o niego chodzi, prawda?

Znowu zwrot akcji — łysy także rzucił się do ucieczki, ale w przeciwnym kierunku. Jego czarny płaszcz powiewał na wietrze. Czyżby fiasko całej akcji? Passan popatrzył na Fifi, który znowu stał w pozycji do strzału, celując na zmianę to w jednego, to w drugiego uciekiniera.

— Zostaw tamtego ptaszka! — krzyknął do niego. — Łap Guillarda!

Porucznik rzucił się w kierunku warsztatu, a Passan pobiegł do magazynu. Schował do kabury berettę, nałożył niezdarnie rękawiczki i pchnął bramę na szynach.

Wiedział, co go tam czeka.

Było jeszcze gorzej.

W hali o powierzchni około stu metrów kwadratowych, wypełnionej motorami, łańcuchami, narzędziami, różnymi rupieciami, do ustawionej na wysokości półtora metra cysterny była przywiązana młoda kobieta. Ręce i nogi miała skrępowane skórzanymi rzemieniami. Arabka ubrana w dres Adidas. Spodnie i majtki opuszczone do kostek, T-shirt rozerwany.

Rozcięto jej brzuch od mostka do kości łonowej. Wnętrznosci wypłynęły aż na podłogę. Przed nią w kałuży benzyny palił się płód. Ten sam sposób działania. Kilka sekund wydawało się wiecznością. Passan stał bez ruchu. Ciało dziecka czerwieniło się w duszącym dymie. Miał wrażenie, że obserwują go wypalone ogniem oczy.

W końcu ocknął się z odrętwienia i pobiegł slalodem między oponami, wałami napędowymi, tłumikami. Chwycił matę podłogową i przykrył nią maleńkie zwłoki, usiłując zgasić płomień. Znalazł składaną drabinę. Jednym naciśnięciem uruchomił mechanizm i wspiął się na górę do przywiązanej kobiety. Wiedział, że nie żyje, ale chciał się upewnić, dotykając palcami jej szyi. Kiedy odezwał się iPhone, Passan sięgnął do kieszeni i omal nie spadł z drabiny.

— Co ty tam robisz? — Usłyszał zdyszany głos Fifi.

— Masz go?

— Zwiął.

— Gdzie jesteś?

— Nie mam pojęcia!

— Już idę.

Passan, z bronią w ręku, zeskoczył na ziemię i pobiegł do wyjścia. Omijał betoniarki, potykał się o występy, worki z gipsem, stalowe pręty. Nic nie widział.

Przebiegłszy kilka metrów, runął jak długi. Podniósł się i poszukał wzrokiem przeszkody, która spowodowała jego

upadek. Fifi leżał z nogą zaklinowaną pod pojemnikiem do rozrabiania gipsu.

— Przewróciłem się, Passan... przewróciłem...

Trudno było orzec, czy Fifi śmieje się, czy płacze. Olivier nachylił się, żeby mu pomóc, ale porucznik krzyknął:

— Zostaw mnie! Znajdź tego łajdaka!

— Gdzie on jest?

— Za tamtym murem!

Passan odwrócił się i kawałek dalej zobaczył mur długi na kilkaset metrów, a nad nim poświatę drżącego światła — szosa. Rzucił się w tamtym kierunku z berettą w rękę, znalazł schodki, wbiegł na nie i przeskoczył przez mur. Upadł po drugiej stronie, ale natychmiast się podniósł.

Tonący w ciemnościach, rozległy teren. W oddali sunęły samochody. W świetle reflektorów ukazała się sylwetka Guillarda. Potykał się na śliskich grudach ziemi, biegnąc z trudem w kierunku szosy.

Passan, dysząc ciężko pod kamizelką kevlarową, odbezpieczył pistolet. Stopy grzęzły mu w błocie. Z trudem odrywał je od rozmokłej ziemi.

Mimo to powoli doganiał zbiega.

Guillard docierał do szosy, wspinając się na nasyp. Passan wydłużył krok. Tamten już miał przeskoczyć przez metalową barierkę, kiedy Passan chwycił go za nogi i ściągnął na dół. Zabójca próbował łapać się kęp trawy, ale Passan chwycił go za kołnierz, obrócił do siebie i kilkakrotnie walnął jego głową o betonowy ściek.

— Ty cholerny draniu...

Guillard usiłował odepchnąć policjanta, ten jednak uderzył go kolbą pistoletu, czując pulsowanie krwi w palcach, oczach, nerwach. Ziemia drgała pod ciężarem samochodów przejeżdżających kilka metrów nad nimi.

Nagle Passan schował pistolet i wspiał się na nasyp, wlokąc przeciwnika aż do szosy.

W ciemności zabłyśły reflektory. Z dużą szybkością zbliżał

się jakiś ciężki pojazd.

Jednym kopnięciem Passan pchnął Guillarda pod koła wozu. Od półciężarówki dzieliło go zaledwie kilka metrów.

Passan zamknął oczy.

To on stanowił prawo.

Był mieczem sprawiedliwości i wydawał wyrok...

Wystarczyła sekunda, żeby ciężki wóz zmiażdżył czaszkę zabójcy. Opanował się jednak i odciągnął Guillarda. Przetoczyli się przez metalową barierę i zsunęli w dół po nasypie. Ciężarówka z głośnym łoskotem, włączonymi wszystkimi reflektorami i ryczącym klaksonem przejechała kilka metrów od ich splecionych ciał.

2

— To cię będzie drogo kosztować! Przysięgam, że nie ujdzie ci to płazem!

Passan patrzył bez słowa na kapitana brygady kryminalnej. Na rozzłoszczonego niskiego mężczyznę w dżinsowej kurtce, z dobrze widocznym sig sauerem. Na rękawie miał wyszyte logo brygady — linia budynków w celowniku pistoletu. Patrolujący okolicę helikopter przelatywał nad mokrymi dachami, omiatając je silnym światłem reflektorów. Passan wystarczająco często przemierzał tego rodzaju dzielnice, żeby wiedzieć, czego taki patrol szuka — ukrywających się grup chuliganów, gotowych do napaści z użyciem butelek, świec dymnych, kamieni. Funkcjonariusze sił specjalnych CRS zeszli już do piwnic w poszukiwaniu tacek załadowanych brukowcami.

Passan otarł ręką twarz, oddalił się na kilka kroków od zbiegowiska. To, co się tu działo, nie dotyczyło go. Dochodził do siebie po niedawnym ataku szaleństwa. Oślepiające światła ciężarówki. Głowa mordercy na asfalcie. Gwałtowna, mordercza żądza kryjąca się pod pozorem wymierzania sprawiedliwości.

Wrócił do kapitana, tak niskiego, że przywodził na myśl Tomcia Palucha.

— Sytuacja była nagle — przyznał w końcu.

— I dlatego wdzierasz się na moje terytorium, nikogo o tym nie informując?

— Dostaliśmy cynk w ostatniej chwili.

— Słyszałeś o artykule pięćdziesiątym dziewiątym?

— Cholera, chodziło o to, żeby dopaść go na gorącym uczynku. Trzeba było działać szybko. W całkowitej dyskrecji.

Kapitan policji zaśmiał się złośliwie.

— Nie wyszła ci ta dyskrecja!

Wokół nich panowało zamieszanie — migające lampy wozów policyjnych, taśmy odgradzające, mundury, białe kombinezony. Funkcjonariusze brygady kryminalnej, miejscowi policjanci, agenci tajnych służb, ludzie z CRS i technicy z policyjnego laboratorium — byli tutaj wszyscy. Grupa nastolatków w zbyt szerokich T-shirtach i bluzach z kapturami napierała na żółte taśmy.

— Jesteś chociaż pewien, że to Akuszer?

Olivier pokazał na drzwi warsztatu.

— To ci nie wystarcza?

Właśnie zabierano zwłoki. Dwaj mężczyźni z zakładu pogrzebowego pchali nosze na kółkach, ciało ofiary wsunięto do plastikowego worka. Za nimi trzeci niósł lodówkę ze znakiem czerwonego krzyża. Był w niej spalony płód.

Kapitan poprawił sobie naramiennik.

— Cholera, naraziliście całą dzielnicę na niebezpieczeństwo.

— Ta twoja dzielnica sama w sobie stanowi zagrożenie.

— I to może moja wina?

Passan uchwycił we wzroku kapitana cień znużenia. W jednej chwili minęła mu cała złość i pogarda dla tego człowieka, który był zwyczajnie u kresu sił, zmęczony latami beznadziejnej miejskiej wojenki. Rozejrzał się jeszcze raz dokoła. Ludzie w oknach, opryski zgrupowane wokół ogrodzonej strefy bezpieczeństwa, dzieciaki w piżamach, słoczone przed wejściami do swoich bloków,

funkcjonariusze sił porządkowych, w kaskach, z bronią na gumowe kule, gotowi strzelać z nich w tłum.

Kilku „etnicznych” policjantów — czarni, Arabowie — usiłowało opanować sytuację. Passanowi przyszli na myśl Indianie tropiciele, którzy na kontynencie amerykańskim otwierali białym drogę do nieznanego wrogiego świata. Ci policjanci też byli takimi zwiadowcami.

Odwrócił się i skierował do swojego samochodu. Przed oczami przemknęły mu szybko wydarzenia, które doprowadziły go do bram piekła. Dwa dni temu zgłoszono zniknięcie Leïli Moujawad — dwadzieścia osiem lat, w dziewiątym miesiącu ciąży. Kilka godzin wcześniej brygada zajmująca się przestępstwami finansowymi przekazała informację, że holding kierowany przez głównego podejrzanego, Patricka Guillarda, kryje w sobie inną spółkę offshore, do której należą warsztaty w Stains przy rue Sadi-Carnot 134. Nikomu nieznaną hangar znajdujący się niecałe trzy kilometry od miejsca, gdzie znaleziono trzy pierwsze ofiary.

Wezwał Fifi. Pojechali. Przybyli za późno. O życiu Leïli i jej dziecka zdecydowało kilka minut... Passan zbyt wiele widział w swoim życiu zawodowym, żeby buntować się z powodu kolejnej niesprawiedliwości.

Nagle w panującym zgiełku rozległ się krzyk. Młody mężczyzna odepchnął agentów CRS i pobiegł w kierunku samochodu zakładu pogrzebowego. Passan natychmiast go rozpoznał. Mohamed Moujawad. Trzydzieści jeden lat. Mąż Leïli. Przesłuchiwał go poprzedniego dnia w siedzibie Regionalnej Policji Sądowej.

Na tę noc miał już dosyć. Zaraz przybędzie prokurator. Wyznaczą nowego funkcjonariusza, który będzie musiał odpowiadać na pytania Ivo Calviniego, sędziego zajmującego się tą serią zabójstw. W każdym razie on nie dostanie tego śledztwa. Musi najpierw odkupić swoje winy. Nielegalna rewizja. Nieudana próba złapania przestępcy na gorącym

uczynku. Złamanie zakazu zbliżania się do Guillarda na odległość mniejszą niż dwieście metrów. Brutalne potraktowanie podejrzanego, który ma prawo do traktowania zgodnie z zasadą domniemania niewinności. Adwokaci tego łajdaka dobiorą się Passanowi do skóry.

— Spadamy?

Fifi, siedząc w subaru, palił papierosa. Z otwartych drzwi wystawały jego owłosione nogi; jedną z nich opatrzyli i zabandażowali sanitariusze z pogotowia.

— Daj mi jeszcze sekundę. — Passan zawrócił do jaskini zbrodni. Nieprędko będzie miał okazję zapoznać się z tym, co zostanie tutaj znalezione. Technicy z dochodzeniówki już się tu krzątali. Na ścianach odbijały się światła lampy błyskowej fotografa. Pudry, pędzelki, plastikowe torebki krążyły z rąk do rąk. Tysiąc razy oglądany spektakl, powtarzający się do obrzydzenia.

Dostrzegł Isabelle Zacchary, którą sam wezwał, by dowodziła tą operacją. Ubrana w biały kombinezon, stała przy poczerniałych wnętrznościach zamordowanej kobiety.

— Masz już coś? — zapytał.

— Prowadzisz tę sprawę?

— Wiesz dobrze, że nie.

— Nie wiem, czy...

— Proszę cię tylko o pierwsze wnioski.

Zacchary ściągnęła kaptur, jakby było jej duszno. W masce z filtrem wiszącej na jej szyi przypominała stwór nie z tego świata. Przy każdym jej ruchu słychać było szelest papierowego kombinezonu. Nie zdjęła okularów, które zazwyczaj dodawały jej powagi i seksapilu. Ale nie tego wieczoru.

— Na razie niczego nie mogę ci powiedzieć. Prześliśmy wszystko do laboratorium.

Passan rozejrzał się. Zakrwawiona cysterna, wiszące rzemienie, brązowe od krwi narzędzia chirurgiczne na stole. Na podłodze leżały jeszcze strzępy spalonego ciała.

Nagle przyszła mu do głowy pewna wątpliwość.

— Macie jego odciski palców?

— Są wszędzie. Przecież to jego warsztat.

Należy je odnaleźć na ciele ofiary. Na narzędziach, które posłużyły do jej torturowania. Na pojemniku z benzyną użytą do spalenia dziecka. No i może pod paznokciami ofiary uda się znaleźć naskórek mordercy. Istotny jest każdy ślad, który mógłby powiązać właściciela tego warsztatu z ofiarami.

— Wyślij mi mailem wyniki — poprosił.

— Słuchaj, to naprawdę wbrew regułom, ja...

— To moje śledztwo, rozumiesz?

Zacchary kiwnęła głową. Passan wiedział, że zrobi to, o co ją prosi — osiem lat współpracy, dwie lub trzy spędzone razem noce, więź, która nadal między nimi istniała. Mógł liczyć na Isabelle.

Wyszedł z warsztatu, ale nie odczuł żadnej ulgi. Na dworze było tak samo źle jak w środku. Znowu padał deszcz. Tłum próbował się przedrzeć przez kordon CRS. To wszystko źle się skończy. Na szczęście chyba nikt na razie nie powiadomił mediów. Jakimś cudem nie pojawił się jeszcze ani jeden dziennikarz czy fotoreporter.

Obchodząc swój wóz, żeby usiąść za kierownicą, zobaczył drugie nosze na kółkach, popychane w kierunku ambulansu. Patrick Guillard okryty srebrną folią. Miał kołnierz ortopedyczny na szyi i oddychał przez plastikową maskę tlenową, która deformowała mu rysy, nadając jego twarzy wygląd łysego, bladego i odrażającego potwora, którym zresztą był.

Pielęgniarze otworzyli drzwi karetki i ostrożnie wsunęli nosze. Niebieskie światło lampy na dachu wozu odbijało się w załamaniach folii, wywołując wrażenie, że oprawca wynurza się z kokonu turkusowych cekinów.

Ich spojrzenia się skrzyżowały.

Wzrok zabójcy uzmysłowił Passanowi, że jeszcze nie

wygrał tej wojny.

I chyba nie wygrał nawet tej bitwy.

3

Godzinę później Olivier Passan stał pod prysznicem w nowej siedzibie biura. Odnosił wrażenie, że woda ma w sobie jakąś moc. Spłukiwała z niego nie tylko kurz i pot, ale również swąd spalonych zwłok, obraz torturowanych ciał, śmierci i rozkładu, od których wciąż nie mógł się uwolnić. Schylił głowę pod szumiącą, chłodną, wręcz zimną wodą. Strumienie biły go po głowie i siekły po skórze, która robiła się czerwona.

W końcu wyszedł spod prysznica i wytarł się do sucha. Poczuł się jak nowo narodzony. Niedawno oddana do użytku siedziba Centralnej Dyrekcji Głównej Policji Sądowej przy rue des Trois-Fontanot w Nanterre robiła wrażenie. Najnowocześniejsza technologia, przestrzeń, neutralność, jakżeż niepodobne do ciemnego labiryntu na Quai des Orfèvres. Na czas przebudowy dotychczasowej siedziby umieszczono tutaj wiele brygad. Chodziły jednak słuchy, że z powodu braku funduszy wkrótce wrócą na stare śmieci.

Stojąc z nagim torsem, przyglądał się sobie w lustrze nad umywalką. Wychudła twarz, mocno zarysowana szczęka, krótko ostrzyżone włosy — wyglądał raczej jak komandos niż policjant. Mimo to w twarzy o regularnych rysach było coś delikatnego. Spojrzał na pierś. Wypukłe, twarde mięśnie

— efekt wielu godzin spędzonych na siłowni. Passan nie ćwiczył, żeby utrzymywać formę. Robił to dla wykazania siły woli.

Podszedł do szafek na ubrania, włożył brudne ciuchy i wsiadł do windy. Drugie piętro. Stalowa konstrukcja, szklane ściany. Szara wykładzina na podłodze. Podobał mu się ten monotonny, chłodny wystrój.

Fifi, wykąpany i uczesany, kręcił się przy automacie do kawy.

— Nie działa? — spytał Passan.

Porucznik kopnął brutalnie dystrybutor.

— Działa. — Wyjął kubek z parującym płynem i podał go przełożonemu. Kopnął ponownie automat i sięgnął po drugą kawę. Z wilgotnymi włosami jego twarz wyglądała na jeszcze bardziej zmaltretowaną niż zwykle.

Wypili w milczeniu. Porozumieli się wzrokiem. Mówić o czymś innym. Za wszelką cenę pozbyć się napięcia. Milczenie jednak za bardzo się przeciągało. Poza pracą policyjną mieli tylko jeden wspólny temat — marazm prywatnego życia każdego z nich.

— Jak tam twoje sprawy z Naoko? — odezwał się w końcu Fifi.

— Rozwodzimy się. Oficjalnie.

— A co z domem? Sprzedajecie?

— O tym nie ma mowy. Nie w tym momencie. Na razie go zachowamy.

Fifi miał sceptyczną minę. Wiedział, że zastój na rynku nieruchomości nie ma nic wspólnego z decyzją Passana.

— Kto w nim zostanie? — zapytał.

— Oboje. Będziemy mieszkać na zmianę.

— Jak to?

Passan zgniół kubek i wrzucił go do kosza na śmieci.

— Każde z nas będzie mieszkać przez tydzień.

— A dzieci?

— One zostają. Nie zmieniają szkoły. Po zastanowieniu

doszliśmy do wniosku, że będzie to dla nich mniejszy wstrząs.

Fifi milczał, dając w ten sposób do zrozumienia, że ma wątpliwości.

— Wszyscy teraz tak robią — dodał Passan, jakby chciał sam siebie przekonać. — Taka organizacja życia jest teraz bardzo popularna.

Porucznik też pozbył się swojego kubka.

— Idiotyczny pomysł. Niedługo to one będą was przyjmować w swoim domu. Staniecie się turystami bez własnego dachu nad głową.

Passan przygarbił się. Przez wiele tygodni ważył tę decyzję, usiłując przekonać samego siebie, że to najlepsze — i jedyne — rozwiązanie. Tygodniami odrzucał po kolei wszystkie możliwości.

— W ten sposób pozostaną w mojej piwnicy.

Od pół roku mieszkał w suterenie, w pomieszczeniu z oknami na poziomie ziemi. Ukrywał się tam jakby w strachu przed bombardowaniem.

— I co dalej? — odezwał się znowu Fifi. — Będziesz sprowadzał dziewczynki do piwnicy? Naoko będzie znajdować w pościeli ich majtki? Będzie spać w tym samym łóżku?

— Zaczynamy dziś wieczór — uciął Passan. — W tym tygodniu zostaje Naoko. Ja przeprowadzam się do kawalerki, którą wynająłem w Puteaux.

Skonsternowany Fifi pokiwał głową.

— A u ciebie? Co u niej słyszać? — zapytał z kolei Passan.

Porucznik się zaśmiał, czekając przy automacie na drugą kawę.

— Przedwczoraj zasnęła, kiedy się kochaliśmy. — Wziął kubek i popijając kawę, dodał: — To chyba dobry znak, jak myślisz?

Obaj się roześmiali. Wszystko było lepsze niż

rozpamiętywanie koszmaru, jaki zgotował im Akuszer.